

POLSKA EMIGRACJA POLITYCZNA STANU WOJENNEGO 1981 DO NORWEGII

realizowany przez konsorcjum:



ARCHIWUM PAŃSTWOWE DOKUMENTACJI OSOBOWEJ I PŁACOWEJ W MILANÓWKU



OPPLANDSARKIVET AVDELING MAIHAUGEN W LILLEHAMMER



FUNDACJĘ KORPUS OCHOTNIKÓW SPECJALISTÓW W WARSZAWIE

**Wywiad z Krzysztofem ORLEAŃSKIM
przeprowadzony przez Jacka Galewskiego (część polskojęzyczna)
i Karen Bleken (część norweskojęzyczna)
w Trondheim, dn. 12 czerwca 2010 roku**

Nazywam się Jacek Galewski; wraz z Karen Bleken reprezentujemy polską i norweską służbę archiwalną oraz Polską Fundację Korpus Ochotników Specjalistów, realizujące misję „Ocalmy od zapomnienia”.

Prowadzimy badanie dotyczące losów osób, które po wprowadzeniu stanu wojennego w roku 1981 doznały represji, a w dalszej konsekwencji opuściły Polskę i osiedliły się w Norwegii.

Chcielibyśmy porozmawiać o okolicznościach ich wyjazdu z Polski, jego następstwach i odczuciach z tym związanych. Nasza rozmowa będzie prowadzona w pierwszej części w języku polskim, w kolejnej części po norwesku, a następnie na zakończenie znowu w języku polskim.

Ponieważ nasza praca ma charakter dokumentacyjny, nasza rozmowa będzie rejestrowana za pomocą dyktafonu oraz kamery. Poza nagraniem archiwalnym z fragmentami po polsku i norwesku istnieje równoważna wersja pisemna z tłumaczeniem części norweskojęzycznych na polski.

Niniejsza wersja jest wersją całkowicie polskojęzyczną. *Tekst oznaczony kursywą stanowi tłumaczenie części norweskojęzycznej, gdzie osobą pytającą była norweska reporterka Karen Bleken.*

Krzysztof Orleański: Nazywam się Krzysztof Orleański. Urodziłem się w Warszawie. Całe swoje dzieciństwo i życie, i znaczy, tę młodość spędziłem w Warszawie. Do trzydziestego roku życia.

JG: A kim byli pańscy rodzice?

KO: No, rodzice... Nazwijmy to inteligencja. Znaczy ojciec z tak zwanej inteligencji, a mama była ze wsi. Czyli taka mieszanka wieś i inteligencja. Znaczy, jedno miało wyższe wykształcenie, drugie nie miało wyższego wykształcenia, tak.

JG: Czy miał pan rodzeństwo?

KO: Tak. Mam dwóch braci, tak.

JG: Młodszych? Starszych?

KO: Młodszych, tak.

JG: A gdyby pan miał powiedzieć coś o atmosferze w pańskim domu...? Jak by pan to opisał?

KO: Atmosfera w domu? No, bardzo pozytywna...

JG: Czy były jakieś przekonania w Pańskim domu, które były szczególnie ważne?

KO: No, trudno powiedzieć. Żeby być dobry człowiekiem, żeby ludziom nie robić na złość, być sobą, nie grać, nie próbować się wywyższać. To było normalne. No i uczyć się. Przede wszystkim się uczyć, nic więcej. Że nie możemy ci dać pieniędzy, nie możemy... Nic po nas nie odziedziczysz, ale jeżeli możesz, to się ucz. I jak były jakieś pieniądze, to na przykład na korepetycje szły.

JG: Czy pańscy rodzice należeli do jakichś organizacji, w Polsce?

KO: Nie. Ja bym... Na ten temat... Bo to są moi rodzice... To ja nie chciałbym na ten temat mówić, tym bardziej, że żyją jeszcze.

JG: Dobrze. A niech pan w takim razie opowie o sobie, znaczy o pańskich studiach...

KO: O sobie? No, studia... Najpierw była szkoła podstawowa przy placu Zbawiciela. Taka ciekawa szkoła, numer 48. Tam było dużo dzieci, różnych takich. I to jest dzielnica ambasad, tam różnych instytucji, takich państwowych i tak dalej. Tak, że dość dużo było dzieci, które były z różnych takich ciekawych rodzin. Dzieci dyplomatów, dzieci... No i też były dzieci z rozbitych małżeństw, robotników. Różnie to było, ale głównie to była taka szkoła dość... No, ten skład szkoły był taki na wysokim poziomie. Wielu z nich pokończyło... Znacząco dość wysoko wylądowało w hierarchii państwowej w tej chwili.

JG: A do którego liceum pan poszedł?

KO: Ja poszedłem do technikum. Bo mnie technika ciągnęła, nie? I tam było technikum...

JG: To był pański wybór?

KO: To był mój wybór, bo ja zawsze zegarki rozbierałem. [śmieje się] Chciałem coś precyzyjnego robić, nie? Ten... Ja wybrałem elektroniczne technikum. To się nazywały Techniczne Zakłady Naukowe, to była szkoła, do której się nie można było dostać. Było siedmiu na jedno miejsce, no, ale jakoś mi udało się dostać, bo miałem dość dobre oceny i egzaminy wstępne też były ciężkie, tak, że jakoś przebrnąłem ten próg. No i ciężkie technikum elektroniczne, nauka, nauka i nic więcej. Praktyka, nauka, dużo przedmiotów. Tak, że ukończyłem szkołę jako elektronik, technik elektronik.

JG: W którym roku pan pisał maturę?

KO: Znacząco, tak... To trzeba sobie dodać, bo jakoś nie powtarzałem w żadnej klasie... Pięćdziesiąt plus siedem plus cztery... Plus pięć.

JG: No, czyli 1968.

KO: Pięćdziesiąt plus siedem? No?

JG: W 1968.

KO: W 1968 roku. To był ten rok maturalny, taki ciekawy, jeżeli pan wie, o co chodzi... [śmieje się] Ta cała dzielnica była otoczona przez ZOMO. Akurat ta dzielnica. Bo to była Politechnika, była blisko.

JG: Aha. Bo rozumiem, że mieszkał pan właśnie gdzieś w pobliżu placu Zbawiciela.

KO: Nie, no, przy Politechnice, tak, że to był ten 1968 rok... To sobie przypominam bardzo dokładnie, jak to było. Tam te... Czapki na studentach... Nagle zaczęli wszyscy studenci nosić czapki. [śmieje się] Od tego momentu. Białe czapki Uniwersytet, brązowe Politechnika.

JG: I co, i Politechnika była taki naturalnym następstwem, tak?

KO: Tak, to było moje marzenie, od początku do końca. Bo to było tak blisko, nie? Jeden przystanek tam. Poza tym wydział elektroniki oczywiście. No i trzy razy na ten wydział elektroniki się nie mogłem dostać. Bo tam też konkurencja. Siedmiu na jedno miejsce, dziesięciu na jedno miejsce. No, w końcu po trzech... Znaczący, zdawałem parę razy egzamin... Zdawałem ten egzamin, ale, no, nie dało się, nie? Tak, że w końcu ten... Za trzecim razem już zdałem. Poszedłem do pracy. Pracowałem tylko, żeby zarobić na korepetycje, z fizyki, z matematyki.

JG: I co pan robił?

KO: Byłem elektronikiem w TEWie, to była kiedyś TEWA, a teraz to się tam inaczej nazywa. Robiłem półprzewodniki, tam montowałem takie różne podzespoły i takie inne historie. Poznałem dość dużo ludzi tam w tej fabryce, tak, że bardzo dobry taki okres był mój. Kiedy poznałem takich prawdziwych robotników. Różnych, bo akurat tam pracowało dużo kobiet. Ciekawy taki moment jest, bo tam do tej fabryki to zbierali wszystkie panie, takie które tam stały na rogu i akurat doszli do wniosku, że one muszą mieć obowiązek pracy, to posadzili je do tych precyzyjnych prac w TEWie. To taka niby pół-przymusowa praca była.

JG: I co? I to się sprawdzało?

KO: Tak. One się resocjalizowały w ten sposób. [śmieje się] Tak, że to była taka metoda. I od razu, no, rozsadzała mnie energia tam w środku też, nie? I zacząłem jakieś coś tam wymyślać... Bo tam jedna pani siedzi i przekłada cały dzień, no, to dlaczego ona w tą stronę przekłada, jak mogłaby w tą i w tą, nie? I tak. I w rezultacie pięćdziesiąt procent wydajności tej pani wzrosło. Tak, że już skończyłem tą pracę w tej TEWie, bo dostałem się na studia. No i zacząłem studiować elektronikę. W 1971, w 1975 już skończyłem studia. No i tylko nauka. Człowiek... Znaczący, to po prostu, to są bardzo ciężkie studia. To nie ma tam kino, klub. Ja nie wiedziałem, co to jest. Dzień po dniu ciężka nauka. Żeby przebrnąć i żeby...

JG: A już w czasie studiów pan nie pracował?

KO: Nie, nie. Bo to były inne czasy. Stołówka kosztowała grosze. Mieszkałem u rodziców, tak, że to nie był problem z przeżyciem. Ktoś mieszkał poza miastem to miał akademik za darmo.

JG: Gdzie pan zaczął pracę po studiach?

KO: Najpierw zdawałem na studia doktoranckie, po studiach, tak. W PANie. Dostałem się na te studia doktoranckie, ale zlikwidowali kierunek. [śmieje się] Tak, że przyszedłem z powrotem do... Do Politechniki i pokazałem... No, zlikwidowali nie z

mojej winy, to przyjęli mnie na Politechnice na studia doktoranckie. Tam studiowałem przez trzy lata i brałem stypendium. Z tego można było żyć.

JG: Co pan tam robił?

KO: No, doktorat! Z elektroniki, z metody kodowania... Takie specjalne kodowanie, które używane do tej pory jest w tych... W CD playerach. To jest metoda odporna na wstrząsy. Że może taki tam upaść na ziemię i jeszcze będzie grał. Tak, że to były początki. Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, co to jest CD player. To były czasy, kiedy się mówiło dopiero na ten temat, na temat cyfryzacji sygnałów analogowych na postać cyfrową. No i ja już akurat wszedłem w to, bo to była kontynuacja mojej pracy dyplomowej, tak, że już mogłem kontynuować. No i po trzech latach... Znaczący wiele osób ze mną zaczynało bardzo zdolnych, którzy tam dostali się na studia, byli dobrzy i nic im tam nie brakowało do szczęścia, no, ale nie kończyli tych doktoratów. Uważali, że są za dobrzy. A to jednak praca jest, nie dało rady. Tak, że od początku ten promotor mniej więcej mnie ukierunkował na coś konkretnego, tak, że widziałem cel. Widząc cel łatwiej jest robić różne rzeczy. Tak, że ten cel już widziałem, tak, że to było dopasowane... Znaczący, po prostu robienie w tym, określonym kierunku i dlatego po trzech latach już właściwie miałem gotowy doktorat.

JG: Mieszkał pan w tym czasie z rodzicami?

KO: Tak. To było... Nie, no, to było inne czasy, bo w tym czasie też się wybrałem za granicę, nie?

JG: Kiedy pan pierwszy raz wyjechał za granicę?

KO: O, to już było. Znaczący ja tutaj nie biorę pod uwagę tej działalności społecznej, nie? Bo ta działalność społeczna już się zaczęła bardzo wcześnie u mnie. To było związane zarówno z zawodem, znaczący... To się zaczęło już od pierwszego roku na uczelni. Ja dość dużo pływałem, tak, że byłem w takim klubie pływackim, potem zostałem wciągnięty do ratownictwa. To jest taka organizacja tam, to się nazywa Wodne Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe. Zostałem ratownikiem, instruktorem ratownictwa, szkoliłem młodych ratowników. Stworzyłem komórkę ratownictwa przy Politechnice... Przy Związku Studentów Polskich. I to ciągnąłem, jako przewodniczący tej komórki. Miałem dość dużo członków, tam było, nie wiem, chyba ze dwustu członków w tym. Bo tam dużo ludzi lubiło pływać, a przy okazji jeszcze pomagać innym, tak, że to był taki dobry moment, że można było tę pozytywną energię jakoś tak ukierunkować. Potem byłem w klubie nurkowym. Też pozytywnie, te obozy nurkowe dobrze pamiętam, te kluby studenckie też. Potem myśmśmy się podejmowali na przykład ochrony w czasie... Znaczący, jako ratownicy... Tam, tych obozów żeglarskich. Tak, że to się rozwinęło. I to się ciągnęło, już to ratownictwo się ciągnęło przez długi okres czasu, aż do wyjazdu. Już tam doszedłem do tej całej tam hierarchii w tym wszystkim. No i to, między innymi, było też powodem, że chciałem... Znaczący, nie wiem, czy już zacząć moment ten dlaczego ja wyjechałem? Tak?

JG: Bardzo proszę.

KO: To... Znaczący ta organizacja, no...

JG: Ta organizacja, czyli WOPR?

KO: WOPR, tak. Nagle zostałem wezwany do wydziału spraw wewnętrznych. Bez powodu. Żebym... Pokazać listy, a kto u mnie jest, a kto to jest, a co to za człowiek, a kto to tamten, a kto to owamten. I to tak raz w tygodniu. Ja byłem przewodniczącym tej organizacji. No, to dobra, doszedłem do wniosku, dlaczego nie? Że to co? Ja nie mam

nic do ukrycia, nie? I dokładnie te listy były sprawdzane, i w tą, i w drugą stronę. Czy ja znam tych ludzi, czy ja nie znam. No, w każdym razie od pokoju do pokoju mnie tam przerzucali. To jest na Nowogrodzkiej takie miejsce...

JG: Było.

KO: No, może było, może dalej jest. Ja przypuszczam, że dalej jest, znając tą całą tą... [śmieje się] To nie było nic złego, no, bo to sprawy administracyjne typowo... No, ale to dobrze, niech im tam będzie. Znosiłem im tam te listy, wszystko było w porządku. Nie miałem nic do ukrycia, no i ta działalność dalej trwała. W którymś momencie... Ja byłem w tym, w SZSP, to było SZSP, Socjalistyczny Związek Studentów Polskich. Potem zobaczyłem, że tworzy się ZSP „Solidarność”. No, to zacząłem... To uważam, dlaczego by nie? Studenci są dla mnie jednakowi, nie? Czy „Solidarność”, czy nie „Solidarność”, wszyscy... I przyjąłem i jednych, i drugich do tej swojej organizacji, takiej troszeczkę ponad. Ale ja musiałem się przyczepić... Znaczący, nie mogłem w SZSP, bo przestało mi się to podobać po prostu. Bo tam były dofinansowania, tam były obozy nurkowe, tam była kupa pieniędzy w tym wszystkim. Tylko za to, żeby to „S” było dopisane, nie? I to tak się ściągało tych studentów. Wycieczki darmowe. W pewnym momencie... Miałem takiego kolegę, który pracuje... Znaczący, to już nieważne, to już nie będę wchodził w szczegóły. Który był na trzecim roku i nagle zniknął, potem wrócił z powrotem na jakiegoś wielkiego szefa, bo skończył szkołę partyjną, i został zwierzchnikiem jakimś wielkim od tego wszystkiego. Tak to nie bardzo mi to podchodziło. W związku z tym ja się skierowałem... Znaczący, po prostu w kierunku tego Związku Studentów Polskich „Solidarność”, bo uważałem, że oni są też warci tego samego, nie? Że oni też mogą sobie pójść na basen i płacić mniej, nie? Tak, że załatwiłem im te baseny i te... Starłem się stworzyć tą samą organizację od nowa. No i tak się to zaczęło tworzyć, że coraz więcej tych ludzi tam się wokół mnie też zbierało i te panie z tego urzędu spraw wewnętrznych tam co tydzień mnie wzywały po te listy. No i ja tam dawałem im te listy, bo to jest organizacja, no, sportowa, no co tu? To nie ma żadnych politycznych aspektów w tym, nie?

JG: Przynajmniej tak pan to postrzegał.

KO: Znaczący, ja tak postrzegałem, uważałem, że studenci są jednakowi, czy oni są w ZSP, czy w SZSP. No i tak dalej szło. No i tak. No i chciałem u... Nie tyle udowodnić, ile dla mnie ci ludzie z tego... Z tej „Solidarności”, no, to że oni nie mieli dotacji, że oni byli odrzucani ze wszystkimi podaniami, bo nie mieli tej „S” literki, nie? To nie jest ich wina, nie? To ja próbowałem innymi drogami załatwić im to samo. Miałem znajomości w tym związku pływackim, tam na basenie „Legii”, tam takie różne, bo to jest... Były możliwości, żeby ci ludzie mieli to samo, no. Żeby się nie czuli pokrzywdzeni przez to, że... I coraz więcej tych ludzi się do... On musiał być i członkiem „Solidarności” ZSP plus jeszcze moja organizacja WOPR. No i tak to... Tak się powolutku to kręciło, rozkręcało, coraz więcej tych studentów miałem. I to się zbliżał rok osiemdziesiąty, ja zrobiłem już doktorat, znaczący byłem już przy końcu doktoratu. Było wszystko dobrze, właściwie już złożyłem pracę do oceny, no i ten szef... Tak dobrego człowieka... Taki dobry szef mój był, ten od... Mówi: „No, ty rób szybko ten doktorat i już, bo masz od wyboru albo przymierzyć mundur, bo tu moich asystentów zabierają, bo to łącznościowcy, albo... Albo, no, jestem w stanie ci załatwić paszport bez prawa powrotu, znaczący w jedną stronę”. „Dlaczego nie”. No i wybrałem ten paszport, że nie mogłem... Znaczący takie były kiedyś możliwości w Polsce.

JG: Nie miał pan wtedy wątpliwości?

KO: Znaczący, nie, no, ja miałem do wyboru, no, ubrać mundur i pracować w

łączości... Bo tam się... Coś się gotowało, coś się szykowało, to był rok 1981. Ja zrobiłem doktorat w 1981 roku, we wrześniu. Byli ludzie, którzy już wiedzieli, że coś się dzieje. Być może mój szef też widział, o co chodzi. I on wiedział, że traci ludzi z instytutu, jednego po drugim, no i chciał mi w ten sposób dać do zrozumienia, że „dobrze by było, gdybyś ty sobie wziął i pojechał, i będziemy mieć swojego człowieka, tam ewentualnie, żeby ci się dobrze wiodło na Zachodzie”.

JG: Wyjazd był z pańskiego punktu widzenia alternatywą pójścia do wojska?

KO: Znaczący, nie... Może to nie była alternatywa, no, ale ja, nie wiem, no, wyglądało mi na to, że... Że dobrze mi życzy ten mój szef, żeby mnie... No, wolałby, żeby mnie nie było, bo on... Widocznie on musiał się tłumaczyć z tej mojej działalności, dlaczego takiego ma asystenta, który mu tam tak robi nieładnie.

JG: Dopytuję się, bo chciałbym wiedzieć, jak zapadła pańska decyzja.

KO: Moja decyzja? No, znaczący to była właśnie decyzja, no. Było po prostu, no, coraz gorzej było w Polsce. Jeszcze był inny element. Ja już miałem doktorat i tak wyglądało, że raczej chyba już dalej nie pójdzie, awansować to ja tu chyba nie będę. On mi też tak to dał do zrozumienia. Mimo że mam doktorat, ale już...

JG: A coś na to wskazywało poza takim domniemaniem?

KO: On mi tak też dał do zrozumienia, że [śmieje się] już dalej się skończyło. Że już dalej... Że właściwie, no, to „dobrze by było, gdybyś tam się może inaczej zadeklarował, to byś mógł inaczej... Jakąś karierę zrobić”. Ale to mi się nie podobało też. Tak, że to było jednoznaczne dla mnie. Taki wybór był... Jednoznaczny. Że lepiej wziąć i... Znaczący ten wyjazd był właściwie przemyślany, to nie był taki nieprzemyślany wyjazd.

JG: A obawiał się pan czegoś? W związku z wyjazdem.

KO: Znaczący, że jak wyjadę?

JG: Tak. Jak pan sobie wyobrażał przyszłość?

KO: Za granicą?

JG: Tak. Czy nie miał pan takiego poczucia, że jest coś co pana zaskoczy?

KO: Znaczący, nie, no jedyne, co... Dlaczego ja muszę wyjeżdżać, nie? Bo to też... Ja nie chciałem wyjeżdżać, ja się czułem dobrze w Polsce. To nie jest tak, że ja za wszelką cenę chciałem wyjechać i źle mi było. Nie. Ale te trudności, które były ode mnie niezależne, te... Powiedzenie, że „tu już dalej i tak nie pójdiesz” i „że ty nie” i chodzenie po tych urzędach takich, nie wiadomo po co. Takie utrudnianie... Takie nie bezpośrednio udowodnianie czegoś tam, ale to... To było w wyraźnym kierunku, żeby jednak dać sobie spokój z tą działalnością i nie udowodniać, że „Solidarność” ZSP jest taka sama, jak „Solidarność” SZSP. Znaczący, że ten Socjalistyczny Związek Studentów Polskich jest lepszy i koniec. I nie ma gadania. I żeby się wszyscy do niego zapisywali, nie? To było na tej zasadzie. Tak, że bezpośrednio nie miałem absolutnie żadnych takich momentów, żebym musiał wyjechać, żebym się... I właściwie tak wyjeżdżałem z... Z takim zalem...

JG: A kiedy pan podjął ostateczną decyzję? Po wrześniu?

KO: Taką ostateczną wyjazdu? No, w tym momencie, kiedy mi ten mój promotor powiedział, że, „no, panie...”. Tuż przed wrześniem. Ja już myślałem, że nawet jak nie zrobię doktoratu, to i tak będę się musiał ruszyć, bo sytuacja była naprawdę już taka nieprzyjemna, tam w tych urzędach wszystkich. Ja myślę, że gdzieś tak lipiec, sierpień mi się to tak zaczęło krystalizować, że powinienem wyjechać. I to nie wyjechać tak,

żeby na wycieczkę, tylko wyjechać, żeby... Po prostu, no, żeby może trochę inaczej tam sobie pokierować życie w ten sposób.

JG: Ale to miał być wyjazd na stałe z Polski.

KO: Nikt nie wyjeżdża na stałe z Polski. Nie ma ludzi, którzy wyjeżdżają na stałe, nawet ci, którzy tu mieszkają dwadzieścia pięć lat, każdy myśli o powrocie. Tak, że cudów nie ma. To był wyjazd taki, no, świadomy. To nie był nieświadomy. No, ta alternatywa pójścia do tej szkoły łączności, tam w Zegrzu, czy tam... Nie bardzo mi odpowiadała. Mimo że nie musiałem.

JG: Czy chciał pan wyjechać z powodów zawodowych?

KO: Nie. Nie zawodowych. Tylko z powodów... Zawodowych to ja miałem dobrze. Z powodu tego, że, no, miałem te trudności w tych związkach, tych studenckich, nie? Bo to takie chodzenie co tydzień i tłumaczenie się w urzędzie, to nie jest nic dobrego, jaki siedzi się trzy, cztery godziny i pana wręcz przesłuchują, kto jest kto i kto jest... To nie jest przyjemna rzecz, nie? Chyba że ktoś to lubi, nie? Ale ja tak nie bardzo, bo ja tak się czułem niepewnie z tym wszystkim, no, nie wiem, co... Ja tych ludzi dość dobrze znałem, ale nie chciałem o nich negatywnie mówić, tak, że dla mnie to było nieprzyjemne po prostu.

JG: Czy pan przygotowywał się do wyjazdu?

KO: Nie. To tak sobie... Planowałem tak trochę, wiedziałem, że powinienem wyjechać.

JG: A co rodzice o tym sądzili?

KO: Zgodzili się na to. Oni... Oni wiedzieli, że...

JG: Wyjeżdżał pan sam?

KO: Nie, ja wyjechałem z moim bratem razem. On też tak razem ze mną postanowił w tym samym czasie wyjechać.

JG: Czy od początku było jasne, że to będzie Norwegia?

KO: Nie.

JG: A jak to wyglądało?

KO: Znaczący kierunek był jak najbliżej na Zachód. To nie było tak, że ja się chcę gdzieś osiedlić, czy coś. Ja wiedziałem, że mam wyjechać. Czułem, że powinienem wyjechać. To pierwsze moje kroki były do Austrii. No, a w Austrii już był system, który pracował właśnie na taki... Znaczący, tam już ludzie wiedzieli, o co chodzi. Wręcz na dworcu. I z takich jakichś tam opowiadań, innych, wiedziałem o obozie. Że jest obóz. Wiedziałem, że jest źle w tym obozie, zdawałem sobie z tego sprawę, ale wiedziałem, że, no, ja czuję, że... Znaczący, po prostu nie... Że powinienem do tego obozu pójść, żeby... Tak, że trafiłem do obozu w miejscowości Traiskirchen. Poprosiłem o azyl polityczny. Znaczący, po przesłuchaniu, dość dokładnym, dosłownie powiedziałem to samo, co panu. Ani słowa, nic więcej, nic mniej. Dostałem azyl na drugi dzień.

JG: A sam pański wyjazd? Dostał pan paszport?

KO: Dostałem paszport, tak. Dostałem normalny, legalny paszport, ja nie uciekłem. Normalnie, legalnie.

JG: Kiedy dokładnie wyjeżdżał pan z Polski?

KO: Chyba początek października. Wsiadłem w pociąg i wyjechałem. I trafiłem do

obozu, tak jak cała fala. W tym obozie było sto tysięcy Polaków. Były takie miejsca. [śmieje się] Warunki straszne. To była taka próba, czy ludzie rzeczywiście chcą... Czy są umotywowani dalej jechać.

JG: Jak długo pan tam był?

KO: Rok. To była taka próba. Dużo ludzi rezygnowało, dużo ludzi było... Były i też wtyczki z MSW, były... Byli i wojskowi, byli i pijacy, byli i narkomani. Taki różny skład... Byli ludzie, którzy uciekali bez paszportu przez rzekę, postrzeleni, rannych przywozili do tego obozu. To było takie miejsce, które naprawdę odstręczało od tego, żeby w ogóle być i trzeba było być naprawdę silnym psychicznie, żeby coś takiego przeżyć. Ale wydawało mi się, że dobro wygra tak czy inaczej.

JG: Co pan robił w ciągu tego roku?

KO: W ciągu tego roku nie wolno mi było nic robić. Tak prawdę powiedziawszy. Ale ponieważ znałem niemiecki, no, to pomagałem tam tym ludziom, których byli w tym obozie. Z tłumaczeniami różnymi, starałem się trochę im tam ulżyć w tym losie. Siedzeli mnie przed telewizorem ze słuchawkami i tłumaczyłem im filmy na polski. To też było dobre zajęcie. To było takie jak lektor. Ci ludzie w pewnym momencie poczuli jakąś taką więź, żeby można było przetrzymać ten obóz. Dużo było morderstw. Dwa, trzy pogrzeby były nieraz tygodniowo. Na różnym tle. Właśnie było dużo właśnie... No, MSW miało swoich... Oni też tymi samymi kanałami wypuszczali tych ludzi, bo oni wiedzieli o tych kanałach, które były na Zachód i tych... To było niedaleko tego stanu wojennego, tak, że to nie było przypadków w tym wszystkim. No i tak to było oczekiwanie. To była taka loteria. Składało się podanie, swój życiorys do takiego centralnego punktu. Taki był... Komendantura tego obozu, bo to były dawne koszary ponemieckie, Franza Josefa. Takie stare koszary, duże, ogrodzone. Przy wejściu zabierano paszport i wszystkie dokumenty, tak, że byliśmy już zupełnie tak [śmieje się] incognito. Wolno nam było wchodzić i wychodzić, ale strażnicy na tym... Każdy dostał swój numer, tak, że... Taką tymczasową legitymację, że nas tam przepuszczali przez te wejście. Sale były stuosobowe. Ludzie się odgradzali kocami. To były łóżka piętrowe, nawet trzypiętrowe. Tak, że warunki naprawdę były odstrasające. Jeżeli naprawdę ludzie byli tylko ze względów takich, żeby sobie życie polepszyć, to bardzo szybko ci ludzie stamtąd znikali i wracali z powrotem. Powrót był bardzo prosty. Nie było problemów z powrotem. Nikomu nie robili z tego powodu żadnej niechęci, że tam „jadłeś za pieniądze austriackie” i teraz wraca z powrotem. Tego samego dnia, jak się ktoś zgłosił, oddawali mu paszport. „Proszę bardzo, droga otwarta, możesz wrócić”.

JG: A interesował się pan tym, co się dzieje w Polsce w tym czasie?

KO: Tak. Na okrągło. I w tym momencie wybuchł stan wojenny, myśmy już wtedy... Że granice są zamknięte, myśmy to usłyszeli po niemiecku, nie po polsku. Ja to tłumaczyłem tej całej gromadce. Ludzie tam siedzieli, no, wszystkich taki dreszcz przeszedł, przez całą tą stołówkę. Taki był moment, że... Rzeczywiście takiej, nazwijmy to, żałoby. Pierwsza rzecz, no, to, że nie można wrócić. Bo zamknięte wszystko.

JG: Pana też przeszedł ten dreszcz?

KO: Tak. Był taki moment... No, jak to nie można wrócić? No, co, to ja nie mogę wrócić? Nikt nie może do was przyjechać, wszyscy pozamykani, granice obstawione. To przemówienie Jaruzelskiego... Myśmy sobie telewizor ustawili też, tam, gdzie... Bo tam było jak złapać. Też te wszystkie dzienniki i te wszystkie austriackie były nastawione też na ten stan wojenny, Tam pokazywali, co tam się dzieje i tak dalej. Cenzura była też. Dzwonienie do Polski... Rozmowa jest cenzurowana i tak dalej, to wpływało tak

niedobrze na nastrój. Ludzie mieli dużo depresji. No, ale ci, którzy byli motywowani zostawali. Dużo ludzi po prostu nie dawało rady psychicznie i... To, że jakoś tam ja ten niemiecki znałem, troszkę tak się taka grupka zrobiła, tak, że jakoś tam się stworzyła taka atmosfera troszkę lepsza. Po pewnym czasie myśmy byli...

JG: Czy to że pan był z bratem, to jakoś pomagało?

KO: Lżej było. Tak, tak. To znacznie lżej. Ja byłem z bratem, moją przyszłą żoną i z przyszłą żoną mojego brata. To już było znacznie lżej.

JG: Tam się spotkaliście?

KO: Nie, w Polsce. Tak, że myśmy wszyscy razem tak wsiedli w ten pociąg na Dworcu Gdańskim. [śmieje się] To były wyjazdy z Dworca Gdańskiego. Tak myśmy postanowili po prostu. Wyciągnęliśmy za sobą tą całą gromadkę. To było lżej, znacznie lżej. Jeżeli ktoś jest w otoczeniu najbliższej rodziny, to znacznie... Osoby samotne nie dawały rady. Szczególnie kobiety. Było dużo depresji, załamywały się. Policjanci stali dosłownie w tych salach, na stołówkę były problemy z jedzeniem, bo to... Gwałty były, w ciągu nocy, nikt nie reagował. Mężczyźni, kobiety byli zgromadzeni w jednym miejscu. Rodziny miały lżej. Znacznie lżej, dlatego że po prostu się trzymali wszyscy razem. Osoby samotne naprawdę miały źle. Ten obóz miał wiele zadań. Między innymi odstraszenie tych ludzi, którzy nie mieli motywacji. No, po prostu chcieli wyjechać, żeby sobie życie polepszyć. Tak, że zobaczyli, że to życie tam im się tak wcale nie polepszy.

JG: Pan mówi jak o czyścucu trochę.

KO: Nazwijmy to w ten sposób. Tak, że ten pobyt... Dużo ludzi nie dawało sobie rady. Były depresje, lądowali w szpitalu, no, różne historie.

JG: Wróćmy w takim razie do tej waszej czwórki.

KO: Tak. To myśmy taką czwórkę stworzyli i ja byłem motorem tej czwórki. Znaczący, ten mój... [śmieje się] Ten mój motor tego, że muszę wyjechać, no, bo na razie wolę... Lepiej by było, żeby mnie nie było. I jakoś tak przetrzymaliśmy ten okres. Potem już nam troszkę się lżej zrobiło. Po stanie wojennym. Bo już w tym momencie, jak ogłoszony został stan wojenny, to już władze inaczej podchodziły do emigrantów szczególnie z Polski. Otworzyły się... Otworzyło się wiele kanałów takich już... Po pierwsze obóz dostał duże dotacje od państwa, tak, że już w tym momencie oni zaczęli te pokoje po prostu rozdzielać i wysyłać ludzi do pensjonatów, do hoteli wokół Wiednia. I oni mieli dotacje, które pozwalały na to, żeby ludzie mogli mieszkać lepiej, nie? I myśmy się na taką grupkę załapali, też, taką chyba pięćdziesięcioosobową, i zostaliśmy odwiezieni tak z dnia na dzień do hotelu. To był taki hotel w takiej małej miejscowości, gdzie były tylko hotel i kapliczka. Takie miejsce pielgrzymek. No i tak czekaliśmy na decyzję, gdzie nas skierują. Podania myśmy poskładali, bo to wtedy pootwierano się wiele krajów na... Nie mogli pomóc Polakom, którzy byli w Polsce, to chcieli...

JG: Tak, ta pomoc się skupiła na tych...

KO: Skupiła się na tych, którzy są poza Polską. Tak, że zaczęli... Zaczęły się interviews w różnych... Z różnych krajów. Z Australii, z Afryki Południowej, nagle się otworzyły możliwości. Z Ameryki, z Kanady. I tak myśmy tam chodzili od takiego interview jednego do drugiego i składaliśmy te swoje podania. No i w pewnym momencie przyjechał Czerwony Krzyż norweski z księżniczką norweską na czele. Bo też to się zaczęło otwierać, to wszystko tak jak już mówię, to już był rok 1982 w tym momencie. Bo to wszystko, to jest ten okres roku, ja mówię o roku. Złożyliśmy podanie

też tam, tak z rozpędu.

JG: Bo było wiele tych miejsc, które braliście pod uwagę?

KO: Tak, tak. I złożyliśmy to podanie, mój brat też złożył podanie, no i mieliśmy interview, wywiad, tam przyjechała ta misja Czerwonego Krzyża i Caritasu. No i nie wiem dlaczego na przykład mnie przyjęli do Norwegii, a mojego brata nie. I on musiał odczekać swoje, i w końcu wylądował w Kanadzie. Rozdzielali rodziny bez... Jakoś tak trochę bezdusznie to się działo.

JG: Ale pańska narzeczona...

KO: Z moją tą... Narzeczona, tak bo myśmy razem poszli na to interview i razem nas tam zakwalifikowali. Tak, że myśmy mieli już tą możliwość wyjazdu. Norwegia wzięła wtedy chyba sześćdziesiąt osób. Dwie partie po trzydzieści osób. I to była pierwsza taka emigracja powojenna, zorganizowana, do Norwegii. Przed nami troszkę Chilijczycy przyjechali, trochę było Wietnamczyków, tych uciekinierów z łodzi, takich na tych statkach, no i ta duża grupa, znaczy sześćdziesiąt osób z Polski. Myśmy zostali wszyscy skierowani tutaj, do Trondheim, bo tu były te możliwości. Dokładnie to było wszystko tak tutaj rozpatrywane, długo myśmy czekali na tą decyzję, bo Norwedzy są bardzo dokładni. Tak to wyglądało.

Karin Bleken: Czy mógłby Pan opowiedzieć o swoim przyjeździe do Norwegii?

KO: Początkowo natknąłem się na norweską misję poprzez obóz dla uchodźców w Austrii. Nazywała się Kościół Chrystusa (?). Około czterech kilometrów od centrum Wiednia znajdowały się koszary. W tym miejscu musieliśmy dać [oddać, pokazać] paszport i poprosić o azyl polityczny. W sumie zostaliśmy przesłuchani przez policję kilkakrotnie. Przyznano nam azyl w Austrii i zostaliśmy tam przez rok. Ubiegaliśmy się o azyl w innych krajach: w Kanadzie, RPA, Norwegii... Nagle przyjechał Norweski Czerwony Krzyż i Caritas. Byłem razem z bratem. Było spokojnie i nic się nie działo, ale nagle wezwano nas na rozmowę kwalifikacyjną. Wezwano tylko mnie, brata nie. Po dwóch-trzech miesiącach poinformowano mnie, że mogę jechać do Norwegii. Dlaczego nie? To był jedyny kraj w Europie, który chciał nas przyjąć.

KB: Kiedy dokładnie przyjechał Pan do Norwegii?

KO: W listopadzie 1982-go roku.

KB: Do Trondheim?

KO: Tak, bezpośrednio do Trondheim.

KB: I tutaj pozostał Pan od tamtej pory?

KO: Tak. Było 60 osób, które zostały przyjęte przez Norwegię przy udziale ONZ w ramach kwot dotyczących uchodźców. Byliśmy tak zwanymi uchodźcami z kwot i przyjechaliśmy do Trondheim.

KB: Ilu uchodźców przyjechało wraz z Panem?

KO: Było nas 2 grupy, po 30 osób w każdej

KB: Czy Pański brat był wśród nich?

KO: Nie, uzyskał odmowę azylu i w końcu wylądował w Kanadzie. Byłem razem z żoną, która była w ciąży. Przyjechaliśmy do Trondheim, gdzie zorganizowano specjalny program pod kierunkiem znanej dyplomowanej pracownicy społecznej (kształconej na uniwersyteckim kierunku o tej specjalizacji). Pracuje na Sintef i zajmuje się

problematyką uchodźców, niestety nie pamiętam jej imienia. Przyjęła nas. Najpierw zakwaterowano nas w małym pokoiku w Statens attføringsinstitutt (Państwowym Instytucie ds. Aktywizacji Zawodowej Niepełnosprawnych/Rencistów), zagwarantowano nam wyżywienie i kurs językowy. Mieszkaliśmy tam miesiąc. Musieliśmy dojeżdżać do Heimdal na kurs językowy, a instytut znajdował się w Lade. Było tam całe piętro przeznaczone dla Polaków. Ale ci, którzy nas przyjęli pracowali bardzo intensywnie. Okazało się, że pracowali już przed naszym przyjazdem do Norwegii. Przygotowano i przemyślano całą masę rozwiązań, Zagwarantowano nam mieszkania, ale tymczasowo przebywaliśmy w Statens attføringsinstitutt przez 2 miesiące. Tam urodziło się moje pierwsze dziecko, dziewczynka. Pisali o nas w gazecie, zamieścili duży artykuł o dzieciach uchodźców, nowym życiu i podobnych sprawach, więc było to bardzo miłe. Po raz pierwszy spotkaliśmy wtedy tłumaczkę polskiego, która nazywała się Anja Øverdahl. Skończyła już 80 lat. Jest Polką, która wyszła za mąż za Norwega i była naszym ogniwem spajającym nas z norweską kulturą, wraz z rodzinami i dziećmi. Bardzo nam pomogła, zarówno jako tłumaczka jak i na etapie, kiedy musieliśmy zaaklimatyzować się w Norwegii.

KB: Czy są inne osoby, które pamięta Pan dobrze z tego okresu zaraz po przyjeździe?

KO: Tak, tak, był menedżer projektu, ale niestety nie pamiętam nazwiska, a także nauczyciel w szkole. Rzeczywiście, początkowo nie było łatwo.

KB: Rzeczywiście, proszę opowiedzieć, jak Pan to wtedy odbierał?

KO: Tak. Wszystko zaczęło się przede wszystkim od przesłuchania przez policję. Przyznano nam azyl w ramach kwot dotyczących uchodźców, ale Norwegowie tak czy inaczej musieli mieć swoją własną wersję. Więc wezwano nas i musieliśmy powtórzyć jeszcze raz, dlaczego uciekliśmy z Polski, o naszej aktywności politycznej itd., wszystko było jedynie w ramach uzasadnienia. Większości przyznano azyl ponownie w Norwegii. Określa się to jako "reisebevis" (dosł. dowód podróżny) – specjalny dokument (zastępujący paszport). To czerwona książeczka przypominająca paszport norweski, ale bez obywatelstwa. Był to dowód stwierdzający, że ma się status uchodźcy, dokument uznawany na całym świecie.

KB: Czy musieliście długo czekać na wystawienie tego dokumentu?

KO: Nie. Wszystko było bardzo dobrze przygotowane. Cały sztab ludzi pracował nad tym już przed naszym przyjazdem i wiele rzeczy zostało przygotowanych. Bardzo mi odpowiada norweski sposób myślenia. Pojawiło się wiele artykułów w prasie przygotowujących na przyjazd grup polskich uchodźców. Później spotykaliśmy ludzi na ulicy, którzy pytali nas czy potrzebujemy żywności lub odzieży. Nagle dostaliśmy wiadomość od pewnego mężczyzny, który oznajmił, że powinniśmy przejść się na spacer. Na nasze pytanie dokąd, odpowiedział, że do sklepu. Pojechaliśmy do sklepu przy rynku, a on powiedział, że mamy kupić wszystko, co chcemy a on zapłaci. Byliśmy sceptycznie nastawieni, ale wybraliśmy coś dla dziecka. Naprawdę przyjęto nas bardzo ciepło i życzliwie!

KB: Tak. Ale Pan powiedział, że i tak było trochę ciężko

KO: Tak, faktycznie było ciężko. Bo zimna wojna trwała. Wydawało się to trochę podejrzane, że przyjeżdża człowiek z tytułem doktora w telekomunikacji, jest w samym sercu technologicznego rozwoju i szuka pracy. Dlaczego? Stosunki były bardzo złe. Ubiegałem się o pracę w Sintef. Spotkałem się z kierownikiem ds. kadr (human resources). Powiedział, że na pewno zostałem przysłany jako szpieg z Polski i, że mam

zapomnieć o pracy w Sintef. Mówił bardzo otwarcie, to było jasne. Miałem też podobne doświadczenia w innych instytucjach. W końcu poznałem wybitnego profesora z NTH (NTH – Norweski Instytut Technologii), który zgodził się, bym podjął pracę jako asystent bez wynagrodzenia. Ale gmina wypłacała mi 100% przez pierwsze pół roku. Potem pensja była opłacana w połowie przez NTH, aż dostałem pracę jako asystent naukowy. Zaczęło być dobrze.

KB: Jak długo musiał Pan czekać na tę posadę?

KO: Normalnie. Ale było kilka przełomów i wielu wspaniałych ludzi po drodze. Znowu odbyłem tę samą rozmowę, dlaczego przyjechałem. Opowiadałem mojemu nauczycielowi norweskiego, że są sceptycznie nastawieni i, że nie chcą mnie. Powiedział, że może iść na policję poręczyć za mnie. Jeśli ty masz być szpiegiem, to niech raczej mnie zaaresztują, powiedział mi. Naprawdę poszedł na policję. Trochę to pomogło rozwiązać sprawę NTH.

KB: Czy to szczególnie w środowisku naukowym spotykał się Pan z takim sceptycyzmem?

KO: Tak, byli bardzo sceptycznie nastawieni do nas. Na początku tak było z odwiertami naftowymi, a telekomunikacja była kwestią bardzo delikatną. Być może sądzili, że we fiordzie w Trondheim czaiła się polska łódź podwodna? Teraz śmieję się, ale facet z Sintef-u powiedział, że już więcej nie dostanę pracy i że to koniec kariery. Faktycznie miał rację. Nigdy nie wspiąłem się wyżej niż na szczebel asystenta naukowego. Szukałem wszędzie. Teraz się śmieję, ale wcześniej nie było to takie proste.

KB: Czy doświadczył Pan zakazu wykonywania zawodu?

KO: Nie miałem zakazu, ale spotykałem się z sceptycyzmem. Byli bardzo sceptycznie nastawieni do osoby z bardzo wysokim wykształceniem w dziedzinie high-tech. To normalne. Takie jest życie. Już pogodziłem się z tym.

KB: Kiedy dostaliście pierwsze mieszkanie?

KO: Wszystko było zaplanowane. Podczas pobytu w Austrii znaleźliśmy mieszkanie, które było dostosowane do naszych potrzeb, mieszkanie komunalne w Saupstadmyra. Załatwiła je nam instytucja pod nazwą Flyktingboliger (Mieszkania dla Uchodźców) w Oslo. Płaciliśmy mało, czynsz w wysokości 2 000 koron miesięcznie. Wszystko było dobrze zorganizowane i po okresie przejściowym, podczas którego odbyliśmy kurs językowy, przeprowadziliśmy się do Heimdal. Mieszkałem w tej okolicy cały czas.

KB: Czy pamięta Pan, jak czuł się Pan w Norwegii w pierwszych dniach po przyjeździe?

KO: Był listopad. Ciemno i był to duży przeskok z Warszawy, dużego miasta. Tutaj były małe, drewniane, dwupiętrowe domki. Mało było miejsc z rozrywką (klubów) i pusto na ulicach. Ale jakoś to szło... najważniejsze to być z rodziną. O wiele łatwiej jest poradzić sobie z depresją albo potencjalną depresją, gdy jest się razem z bliskimi.

KB: Co z kontaktem z Polską na samym początku?

KO: Najpierw był rok w Austrii. Rozmowy telefoniczne były cenzurowane za każdym razem. Wiedzieliśmy, że nie można rozmawiać o wszystkim, ale o zwyczajnych sprawach. To trwało godzinę. Listy przychodziły otwarte, w obie strony. List do Todza też był otwarty. Ale ja nie miałem nic do ukrycia, więc nie było to dla mnie trudne. To było jedynie śmieszne. Ale dla słabszych ludzi na pewno życie pod taką kontrolą mogło

się wydawać bardziej uciążliwe. Dla mnie było to bez znaczenia. Najważniejsza była praca. Jak się ma kreatywną pracę, pozostałe rzeczy nie wydają się tak istotne. Od razu nawiązałem kontakt ze studentami. Powierzono mi odpowiedzialność za laboratorium i masę zadań. Wiedziałem, że była to posada ograniczona czasowo, którą mogłem stracić w każdej chwili, ale to normalne w Norwegii. Otrzymałem ofertę pracy na stanowisku inżyniera wydziału z odpowiedzialnością za systemy komputerowe. Potem, byłem odpowiedzialny za laboratorium multimedialne, posadę, na której pracuję do dziś. Mogę powiedzieć, że jest bardzo dobrze. Wprawdzie to nie kariera, ale dobra praca, kreatywna...

KB: A czy utrzymywał Pan kontakt z organizacją w Polsce, z Solidarnością?

KO: Nie. Wszystkie te kontakty skończyły się. Nie było możliwości kontynuacji. Wolałem nie utrzymywać kontaktu z Larsem Fastingiem i związkami w Trondheim. To dwa zupełnie różne światy.

KB: Czy Pana zdaniem w Norwegii istniało zrozumienie dla sytuacji w Polsce?

KO: Tak, tak. Kiedy Wałęsa miał dostać nagrodę, dzwoniли do mnie i chcieli, żebym udzielił wywiadu. Chcieli zapytać Polaka o warunki, nastawienie do tego, co się działo w Polsce było bardzo pozytywne.

KB: Ale czy Norwegowie rozumieli, co działo się w Polsce?

KO: Polska była zawsze ... Rosja, Rumunia, Bułgaria – to nie gra roli... to tylko wozy drabiniaste na ulicach, brak technologii... To uogólnienie. Znają być może jedynie prymitywne strony bloku wschodniego – kraje pokazywane w telewizji i prasie. Inżynier nie wpasowywał się w ten wizerunek...

KB: Czy Pana zdaniem, Pańskie oczekiwania odnośnie przeprowadzki zostały spełnione?

KO: Wszystko zależy od ludzi... Zawsze mówiłem "nie ważne gdzie, ważne z kim". Można się świetnie czuć w igloo na Swalbardzie – kwestia kogo się ma wokół siebie. Norwegowie mają tendencję do uogólnień. Było pełno wspaniałych ludzi takich jak ten człowiek, który podszedł do nas i zaoferował zakupy na jego koszt, ludzie, którzy przynosili nam odzież i podobne rzeczy. Odczuwali potrzebę dzielenia się z nami. Bardzo rzadko pojawiali się uchodźcy, 30-stu na całe Trondheim. Z Norwegami kontakt nawiązywaliśmy przez nauczycieli. To normalne, że nauczyciel norweskiego był pierwszym, najważniejszym kontaktem. To ważna osoba. Tworzy wizerunek kraju. Nie wolno bagatelizować roli nauczyciela. W niektórych przypadkach może to być jedyny kontakt z Norwegami.

KB: Jakie było największe Pańskie rozczarowanie?

KO: Sceptycyzm, to że byłem podejrzany. Nie było łatwo, szczególnie, że nie miałem nic do ukrycia. Ale to minęło..

KB: Co Pana najbardziej zaskoczyło?

KO: Czy mam być szczerzy...

KB: Tak, proszę szczerze powiedzieć.

KO: Może to krytyczne nastawienie. Kiedy przyjeżdża się do Trondheim z Oslo jedna z pierwszych budowli jaką się mija to wysoki blok, wie Pani, budynek zarządu gminy. Powinien być większy i bardziej reprezentacyjny... Trzeba pokazać, gdzie jest władza.

KB: Czy może Pan opisać późniejsze życie w Norwegii?

KO: *Kariera jest istotna, by nie nabawić się depresji i żeby nie zauważać, że pada. W domu było gorzej. Moja żona była zdeprymowana. Nie radziła sobie. Napotkała aparat biurokracji. To było ogromne obciążenie.... cały ten system. To jej się powinęła noga. Nie miała szczególnie dobrego wykształcenia i musiała szkolić się od nowa. Zaczęła w szkole średniej jako pielęgniarka. To było bardzo duże obciążenie i zaczęła chorować, nie dawała sobie rady z zaistniałą sytuacją. Zaczęła mieć problemy psychiczne i życie płynęło od jednego pobytu w szpitalu psychiatrycznym do następnego. To było zbyt wiele do zniesienia, więc nie było łatwo. Było kilka prób samobójczych. Jedna z nich doprowadziła do paraliżu i żona wyładowała na wózku inwalidzkim. To było w 1992. Depresja doprowadziła w konsekwencji do jej śmierci w 2008.*

KB: **Mieliście więcej dzieci?**

KO: *Mamy dwójkę.*

KB: **Gdzie przebywają obecnie?**

KO: *Wszystko szło bardzo dobrze, jeśli chodzi o dzieci. Bardzo istotne było zachowanie polskości. Po przejściu przez próg domu mówimy wyłącznie po polsku. Poza tym wszędzie po norwesku. Chodziły do norweskiego przedszkola, norweskiej szkoły, miały norweskich kolegów i koleżanki, norweski system. Są dobrze wykształcone i dostały dobrą pracę w Statkraft (Norweskim Państwowym Przedsiębiorstwie Energetycznym). Jedno pracuje w Norsk Hydro jako "Ekonomista cywilny" (dyplomowany specjalista z dziedziny ekonomii i administracji w krajach skandynawskich). Córka dostała pracę ze względu na znajomość polskiego. Było 2000 kandydatów a ona napisała w CV, że zna polski. Miała stypendium dla dzieci obcokrajowców, które przystępują do studiów magisterskich. Wielu wykazało zainteresowanie ludźmi, którzy znają polski biegle zarówno w mowie jak i w piśmie. Zachowanie polskości okazało się czymś pozytywnym. Drugie dziecko jest też polskojęzyczne. Po szkole średniej zaczęła studia w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Trondheim. Stwierdziła, że w Norwegii jest nudno i bez sensu, więc poleciała na Kubę. Nauczyła się hiszpańskiego, pojechała na Kostarykę, gdzie nauczyła się hiszpańskiego jeszcze lepiej i w końcu wyładowała w Buenos Aires. Tam zrobiła studia magisterskie. Mówi po polsku i hiszpańsku.*

KB: **Teraz proszę mi koniecznie opowiedzieć o Pana kontakcie z Polonią norweską.**

KO: *Istnieją dwie grupy Polaków. Jest tych 30 osób, mała grupka, która przybyła ze statusem uchodźców i nazywa się "starymi Polakami". Jest też nowa grupa ludzi, którzy przybyli po wstąpieniu Polski do Unii. Przyjeżdża coraz więcej ludzi do pracy. Prawie połowa Trondheim została wybudowana przez Polaków. Mam film z polskiej Telewizji, na którym istnieje napis, że Polacy budują Trondheim. Na wszystkich budowach w Trondheim pracują Polacy. Nadszedł czas kryzysu i wielu zaczęło tracić pracę. Zaistniała potrzeba organizacji. Kościół jest mocny, ale wszyscy zbierają się tylko raz w tygodniu na godzinę, może trochę na kawę, ale nic więcej. Potem okazało się, że potrzeba polskiego związku. Istniało przedtem stowarzyszenie, ale brak było motywacji. Członkowie mieli już wnuki i brak im było czasu. Oddzieliliśmy się grubą kreską i zaczęliśmy od nowa. Nasze stowarzyszenie nazywa się Pologna w Trondheim. To było w 2006. Początkowo szło bardzo powoli. Było nas zaledwie pięć-sześć i spotkałem się ze sceptycznym nastawieniem odnośnie tego, że pracowałem społecznie i nie chciałem za to pieniędzy. Ciężko im było zrozumieć, że w ten sposób chcę pomóc dzieląc się moimi doświadczeniami z tymi, którzy dopiero co przyjechali. W rzeczywistości największy napęd do działania dawało mi to, co działo się z moją żoną, obciążenie*

przez biuro ds. bezpieczeństwa, NAV (Norweski Organ ds. Pracy i Pomocy Społecznej), bezwzględność urzędników, którzy widzieli jedynie paragraf, nie człowieka. Należy się zasilek, ale otrzymuje się odmowę, bo brakuje zeznania podatkowego z 2003. Pewien człowiek przyszedł do urzędnika bez znajomości języka. Urzędnik przeszedł na angielski, który jest tak samo trudny dla Polaka jak norweski. Polak powiedział "tak" i wszyscy byli zadowoleni. Zasilek nie doszedł, więc mężczyzna przyszedł ponownie do urzędu. Poinformowano go, że nie dostarczył dokumentu, który zgodził się dostarczyć. Ale on tego nie rozumiał.

Odkryłem, że istniało zapotrzebowanie na moją pomoc i zacząłem małymi krokami od pomocy dla poszczególnych ludzi. Po jakimś czasie zgłosiło się do mnie więcej grup, które ufały mi. Niewyobrażalnie trudno było mi pozyskać sobie zaufanie. Wciąż istnieje sceptycyzm, dlatego robię takie rzeczy za darmo.

KB: Kto miał sceptyczne nastawienie, Norwegowie czy Polacy?

KO: Polacy. Nie jest łatwo z Polakami, bo nie sądzą, że da się pomóc bez otrzymania niczego w zamian. Powoli zgłasza się do mnie coraz więcej ludzi. Niektórzy stracili pracę i pytają się dlaczego. Nie mówią po norwesku. Więc zorganizowałem kurs językowy w 2008. Wynajęliśmy audytorium w NTNU (Norweskiego Uniwersytetu Nauki i Technologii) za darmo. Zaczęliśmy nauczanie dla 200 osób na raz. Mieliliśmy nauczycielkę norweskiego, która była rencistką. Zaczęła pracować dla mnie jako wolontariuszka, za darmo. Miała kolegę, który był emerytem i kiedyś był nauczycielem języka w Chinach. Kolejnego nauczyciela spotkaliśmy na kursie szkolącym dorosłych, i najęliśmy kolejnego nauczyciela i szkoła zaczęła się rozrastać. Wszystko działa na zasadzie wolontariatu i jest duże zainteresowanie.

W 2009 przyszła do mnie kobieta i opowiadała o dzieciach, które miały jedynie 40 minut języka ojczystego. W Bergen i Stavanger mieli polską szkołę, ale nie w Trondheim. Pomyślałem, czemu nie, i założyliśmy polską szkołę. Najpierw zaczęliśmy w kościele. Ksiądz był bardzo sceptyczny i myślał, że nikt nie przyjdzie. Ale zgłosiło się 50 osób uczących polskiego. Spytałem się, czy ktoś miał przygotowanie pedagogiczne. Co zaskakujące, 10 osób się zgłosiło, prawdziwych nauczycieli z wykształceniem pedagogicznym, dwóch nauczycieli specjalnych, między innymi matematyk z dziesięcioletnim doświadczeniem z Polski. Sobota to święto dla tych ludzi. Nie są pokojówkami czy sprzątaczkami, są nauczycielami. Dostają jedynie 30 koron na bilet. Tak zaczęliśmy polską szkołę.

KB: Czyli zaangażował się Pan w najwyższym stopniu w działania na rzecz Polaków.

KO: Tak. Czemu nie, skoro istnieje potrzeba. Obecnie zatrudniłem dyrektora szkoły, więc szkoła zaczęła funkcjonować beze mnie. Wszystko idzie dobrze, a ja wziąłem sobie trochę wolnego. Będą kontynuować od września.

KB: Jakie wydarzenie uważa Pan za najistotniejsze w życiu po Pańskim przyjeździe do Norwegii? Czy określił by Pan jakieś kamienie milowe?

KO: Ma Pani na myśli negatywne czy pozytywne wydarzenia? Śmierć żony, depresja i próby samobójcze. To wpłynęło na mnie najbardziej. .

KB: A inne rzeczy?

KO: Po stronie pozytywów, nigdy nie miałem problemów z dziećmi. Były dumne, że są Polkami i nie ukrywały pochodzenia. Potrafiły rozmawiać po polsku w autobusie. Zdobyły dobre posady i nie muszą się o nie martwić. Największym wydarzeniem było

nagrodzenie mnie Różą Trondheim, specjalnym odznaczeniem dla ludności Trondheim. Było to w listopadzie 2009. Bardzo miła sprawa. Za całokształt działania. Polacy też są postrzegani jako ludność Trondheim. Musiałem spełnić wiele kryteriów, by na to zasłużyć.

KB: Czy utrzymuje Pan obecnie kontakty z Polską?

KO: Jeżdżę do Polski dwa, trzy, cztery razy rocznie. Utrzymuję kontakt z rodzicami.

KB: Jak postrzega Pan teraz swoją sytuację?

KO: Nie czuję się samotny i nie mam problemu z nadmiarem wolnego czasu. Zawsze jest coś do zrobienia. Stoję za pierwszym na świecie teatrem trójwymiarowym. Mieliśmy premierę we wrześniu w Trondheim. Pojawiłem się w gazecie we wspomniałym reportażu i przyjechała polska telewizja. Idzie dobrze. Trzeba skupić się na dobrych stronach, ale zdawać sobie sprawę z istnienia tych złych. Dziś miałem ciężki dzień z dziesięcioma wysoce wykwalifikowanymi nauczycielkami, zestresowanymi kobietami na granicy depresji. Trzeba znaleźć nowego dyrektora szkoły, bo poprzednia dyrektorka będzie mieć dziecko. To naprawdę była sytuacja postawiona na ostrzu noża, były fronty. Dużo skarg i stresu, charakterystycznego dla norweskiego pojęcia na temat polskiego Sejmu. Nie było łatwo. Było kilku dobrych kandydatów, ale sądzę, że w końcu znalazłem kandydata, który jest zmotywowany.

KB: Muszę spytać Pana o jedną rzecz, jako że ma Pan tak duży kontakt z Polakami. Czy da się powiedzieć coś ogólnie, jaka jest wasza sytuacja w Norwegii?

KO: Jest dobra, bardzo dobra. Polacy mają dobrą reputację. Pracowałem jako tłumacz po godzinach i miałem dużo do czynienia z Polakami osadzonymi w więzieniu i wiem, dlaczego tam siedzą. Ale nigdy nie jest tak, że zawsze piszą coś o polskim włamywaczu w gazetach. Nie ma nic o złodziejach z Polski, ale o złodziejach. Gazety są przychylnie nastawione do Polaków a Polacy słyną jako dobrzy fachowcy. Są poszukiwani. Norwegowie pytają się mnie, czy nie mogę załatwić Polaka, który mógłby pracować na czarno, ale ja mówię, że wszystko musi odbywać się legalnie. Oficjalnie w Trondheim jest 2000 Polaków, nieoficjalnie 5000. Ponad połowa pozostaje tu dłużej niż trzy miesiące (nielegalnie) i pracuje na czarno. To normalne. Jest grupa sprzątaczek. Norwegowie mają tak duże zaufanie, że dorabiają paniom klucze. Nie było problemów, panie z tej grupy są porządne, w przeciwieństwie do Tajek albo ludzi z Wietnamu. Polska sprzątaczką to synonim solidnie wykonywanej pracy. Na czarno, ale...

Jacek Galewski: Chciałem zapytać o pańskie związki z współczesną Polską.

KO: Z Polską dzisiaj, dobrze. Nie tak dawno jeszcze byłem w Poznaniu... Znaczący, byłem w Łodzi na premierze „Czterech pór roku” pani Wycichowskiej, z którą się zapoznałem tutaj na przedstawieniu i będziemy robić wspólny projekt. „Cztery pory roku”, ale w trzech wymiarach, na dużej scenie i to jest wszystko na dobrej drodze. Mam dobry kontakt ze swoją uczelnią, z profesorem Skarbkiem, największym autorytetem w dziedzinie multimediiów.

JG: Czy śledzi pan sytuację w Polsce na bieżąco?

KO: Tak, te sprawy wyborów. Tak, te sprawy wyborcze też nie są mi obce i tutaj został zawiązany komitet wyborczy, po raz pierwszy w Trondheim. Komitet wyborczy, dlatego że jest wiele takich indywidualności jak ja, nie ma... Nie jest tak, że tu jest taka zupełna

puszka, próżnia, nie? Jest taka pani też, która też bardzo się tak aktywnie zaangażowała w tym, ona dość tak aktywnie pisze na wszystkich forach takich internetowych, tak, że cały czas jesteśmy w kontakcie. Ona mnie ciągle pyta, ja jej daję dobre rady. Ale ja staram się nie... Dałem jej możliwość, żeby po prostu się wykazała, żeby mogła nareszcie być sobą, żeby nie była zdominowana przez tę moją całą organizację i przeze mnie, i bardzo jej to dobrze wychodzi. Tak, że zorganizujemy wybory. Znaczący, już jest dwieście pięćdziesiąt osób się zameldowało, bo to się najpierw przez Internet trzeba zameldować i wygląda na to, że nawet konsul przyjedzie tutaj, bo to było pierwszy raz w ogóle w historii, że będzie w Trondheim okręg wyborczy. Tak, że mamy w tej dziedzinie sukces. Znaczący, na pytanie, po której stronie ja stoję?

JG: Czy pan swoją sytuację, tutaj, w Norwegii, uważa za lepszą, czy za gorszą niż sytuację hipotetycznego pańskiego rówieśnika w Polsce?

KO: Znaczący, ja ciągle wracam tam. Ja jestem dzisiaj na bieżąco z moim instytutem, z moimi rówieśnikami, którzy też robili doktoraty w tym samym czasie. Siedzą, narzekają, że im jest źle, że muszą na trzech etatach pracować, że nie mają czasu na nic, na rodzinę, że ciągle czują się tacy jacyś pokrzywdzeni w tym wszystkim, niedocenieni. No, wyglądałoby, że ja prawdopodobnie bym się w takiej grupie znalazł. Najprawdopodobniej. Bo kariera naukowa to w tym kierunku szła. Oni są już docentami. Znaczący, oni już mają... Nawet jeden chyba nawet profesorem jest. Pracuje na trzech etatach. Znaczący, on jest w Poznaniu profesorem w przetwarzaniu sygnałów, potem nakłada czapkę o godzinie trzeciej, idzie do jakiejś prywatnej szkoły., co trzeci tydzień uczy w szkole zaocznej gdzieś w Szczecinie. Kawał drogi. No i jakie to jego życie jest? On jest przepracowany, to jest dobry naukowiec, pisze masę artykułów. Ja go spotkałem tutaj, bo przyjechał na studia doktoranckie, potem podoktoranckie. Miał możliwość do pisania, to pisał co drugi tydzień artykuł. Teraz nie ma czasu na to. On jest zajęty, jak przeżyć z dnia na dzień. Ja prawdopodobnie byłbym w tej grupie. Żadnej działalności społecznej by raczej nie było, bo nie byłoby kiedy. Trzeba by było tą rodzinę utrzymać. No, tutaj, no, na tej uczelni to jest państwowa pensja. To jest państwowe, to nie są dobre zarobki, to są takie średnie norweskie. Ale tu można z tego żyć. Już niedługo spłacę dom, który miałem na kredyt, no, ale powolutku się to wszystko da. tak jak i jaki taki samochód jest, nie z tych najnowszych, ale jest.

JG: Jak pan w takim razie ocenia swoją decyzję o wyjeździe?

KO: Decyzję... Ja nigdy nie żałowałem swojej decyzji. Niezależnie od powodów. Powody były, nazwijmy to, polityczne, bo to... Polityczne w tym sensie, że to naprawdę nie mogłem się pogodzić z tą rzeczywistością, z tymi... Ale jak bym mógł wrócić, dlaczego nie. Jeżeli miałbym zapewnione tam to samo, co mam tutaj, te możliwości rozwoju, jakie mam... Tak, że nie, ja nigdy nie przeczę, że powrót jest niemożliwy.

JG: Jak by pan dzisiejszy... Gdyby pan z dzisiejszej perspektywy mógł wrócić w tamten czas, to by pan postąpił tak samo, to znaczy wyjechał?

KO: Tak. Nie, akurat moja decyzja była... Nie żałuję tej decyzji. Jedynie żałuję w stosunku do mojej rodziny, bo zostawiłem ojca i matkę, nie? I oni musieli tam ten okres... Ja miałem siedem lat... Nie miałem możliwości wyjazdu do Polski. Bo jest taki okres, kiedy... Po prostu trzeba składać [wniosek] o wizę i na tym paszporcie uciekinierskim nie... Nikt wizy nie wstawi mi do Polski, nie? Bo to jest właśnie paszport wydany bez prawa przyjazdu do Polski.

JG: Zna pan kogoś, kto wrócił?

KO: Teraz dużo ludzi wraca. Ale nie wraca, dlatego że... Znaczący, to jest takie

określenie, wśród Polaków nazywa się „zjeżdżam do Polski”. „Zjeżdża”, to nie znaczy jedzie na wakacje, tylko „zjeżdża” to znaczy zwija swój interes i wraca do Polski. Bardzo mało ludzi to robi. Jeżeli już ktoś jest tutaj... Im się przedłuża ten... Nikt nie przyjeżdża do Norwegii, żeby tu zostać, to jest pierwsza rzecz. Nikt nie jedzie z nastawieniem, że będzie tu wiecznie mieszkał. Ludzie przyjeżdżają, żeby zarobić i to jest ta podstawowa myśl. Bo tu dość dużo się zarabia. 150 koron na godzinę, 70 złotych za godzinę, no, to to jest dużo, nie? Na rękę. Tak, że te pieniądze nie są już takie same, jak były. W Polsce to nie jest to samo. W Polsce też jest drogo. Te jego marzenia, że on sobie odłoży tam ileś tysięcy, wróci, wybuduje dom na tej wsi, się coraz bardziej rozciągają w czasie. No, niby wybuduje fundamenty, tam dach, ale dalej mu brakuje i dalej tutaj wegetuje. Znaczą, nie wegetuje tylko pracuje, ciężko. To są rozbite rodziny, to są dzieci, które nie widzą ojców przez ileś tam lat. Tylko na wakacje ewentualnie ten ojciec przyjeżdża i to też krótkie, żeby szybko wrócić, bo nie zarobi, nie? Tak, że takich powrotów bardzo mało znam. Trzy, cztery osoby, które tak rzeczywiście się zdecydowały, „no, wracam, nie wracam z powrotem”. Znaczą jedna rodzina była... To były osoby z wyższym wykształceniem obydwój, ona była politologiem, on był inżynierem. Faktycznie, udało im się załatwić prace tutaj dobre, ale to ja cały czas twierdzą, nie gdzie, tylko z kim. Tam między nimi zaszły problemy. I tu jest ten cały problem.

Dziękujemy za rozmowę.

Zapis i redakcja fragmentów nagrania w języku polskim: Jacek Galewski.
Zapis i redakcja fragmentów nagrania w języku norweskim: Karen Bleken.
Przekład z norweskiego przez Biuro tłumaczeń MULTICITI ITAIO.pl